ORKA

„PRAWDA ZWYCIĘŻY"

Nr. 4 (20) KWIECIEŃ 1943 ROK III

SPEKULANCI I PATRIOCI

„Kto na tej wojnie wzbogacił się przez spekulację lub konszachty z okupantem, krzywdząc w ten sposób Naród, lub obrażając jego poczucie moralne, temu niezależnie od postępowania karnego ma być skonfiskowany majątek tą drogą uzyskany. Majątek ten zostanie przeznaczony na zapomogi dla ofiar wojny... (Z tezy III deklaracji ZPL „Orka")

Myliłby się, ktoby sądził, że gospodarka w G. Gubernii jest przykładem niemieckiego bałaganu administracyjnego czy też demoralizacji niemieckich czynowników. Przeciwnie, to jest system zorganizowanego rabunku i wyniszczenia żywiołu polskiego na tym terenie, który według słów Hitlera miał się stać „ojcowizną Polaków". System ten jest tak perfidny, że niektórzy mało orientujący się Polacy sami mimowoli stają się jego podporą i przyczyniają się do rozbijania jedności naszego Narodu przez wytwarzanie napięć społecznych, o skali nie spotykanej gdzie indziej.

Polak przyjeżdżający z terenów przyłączonych do Rzeszy np. do Warszawy pada ofiarą złudzenia: widząc pełne sklepy różnych towarów i smakołyków, zdumiony przeciera oczy i woła: „przecież u was wszystko jest, wszystkiego można dostać!" O stronie odwrotnej medalu dowiaduje się dopiero później i stwierdzić musi, że jednak w Rzeszy jest stan rzeczy daleko bardziej sprawiedliwy, oczywiście tylko dla Niemców, bo tam wprawdzie smakołyków i chleba białego nie ma w wolnym handlu, ale za to każdy Niemiec dostaje na kartki swoje minimum wyżywienia, podczas gdy tu nikt z przydziałów kartkowych wyżyć nie może, nawet gdyby chciał żyć jak Ghandi. Ten stan rzeczy wcale a wcale nie szkodzi Niemcom, tylko szkodzi Polakom. Niemcy mogliby tu zastosować ten sam racjonalny system przydziałów żywności i odzieży jak w Rzeszy, ale nie chcą, gdyż ten teren jest z góry przez nich przeznaczony na wyniszczenie. Zabierają stąd maksimum żywności do Rzeszy: wiedzą, że kartkowe przydziały są niewystarczające i zdają sobie sprawę, że wobec tego rozwijać się musi lichwa i pasek czyli szmugiel. Ale ten szmugiel i spekulacja stanowią dla nich doskonałą okazję z jednej strony do rabunku, a z drugiej do rozsadzania spoistości naszego społeczeństwa, to też traktują te przestępstwa tutaj zupełnie inaczej niż na terenie Rzeszy. W Rzeszy paskarz idzie pod topór kata, tutaj — płaci grzywnę, a najczęściej łapówki i chodzi zadowolony.

Czy rozwinięte ogromnie na terenie Gubernii łapownictwo niemieckich funkcjonariuszy jest dowodem ich demoralizacji i gnicia całego systemu hitlerowskiego? I tak i nie. Trzeba pamiętać, że partia hitlerowska wychowała swoich członków w moralności antychrześcijańskiej, w moralności przypominającej zasady żydowskiego Talmudu: nie wolno zabierać mienia swojego bliźniego, t. zn. rodaka, ale wolno okraść i obrabować wroga, w praktyce każdego nie-niemca, nie wolno brać łapówki od rodaka, ale wolno od nie-niemca i t. d. Często przytaczamy pochopnie wypadki korupcji wśród urzędników niemieckich, gdy w istocie nie jest to korupcją, lecz co najmniej tolerowany przez władze partyjne system grabieży polskiego mienia. Niewątpliwie demoralizacja wśród funkcjonariuszy niemieckich coraz bardziej szerzy się, zwłaszcza gdy coraz lepiej uświadamiają sobie beznadziejny dla Niemiec wynik tej wony, ale musimy dokładnie rozróżniać demoralizację od zorganizowanego systemu grabieży!

Niemcy przede wszystkim starają się, żeby u nas panowała korupcja i demoralizacja: chcą zaszczepić nam tak złośliwego bakcyla, iżby go trudno było wytępić nawet po wojnie. Utrzymują umyślnie płace na poziomie poniżej wszelkiego minimum egzystencji i mało ich obchodzi to, że w tych warunkach robotnik, chcąc wyżyć, będzie musiał kraść, a pracownik defraudować, lub brać łapówki, jeśli nie ma możności „handlować" w wolnych godzinach. Otóż społeczeństwo nasze rozumie ciężki los urzędnika i naogół toleruje pewne praktyki, zastosowane przez urzędników w celu dorobienia „na boku" brakującej sumy na wyżywienie. Niestety jednak obserwujemy na różnych terenach, że nasi urzędnicy zbyt przeholowują w tych praktykach, że to, co starają się zarobić przy pomocy metod, które normalnie karze się ciężkim więzieniem, grubo przekracza to, co się uważa za minimum egzystencji. Znamy takich średnich urzędników, których obecnie stać na chodzenie co parę dni do knajp i wydawanie tam po parę tysięcy złotych! Z drugiej strony mamy pracowników o prawdziwie heroicznym charakterze: przymierają oni dosłownie głodem, wyprzedają się, byleby tylko nie wejść na śliską drogę. Ale siła oporu ma swoje granice. Tych heroicznych charakterów jest coraz mniej, a coraz bardziej panoszy się typ zdemoralizowanego przez Niemców, pozbawionego skrupułów, ordynarnego łapownika na urzędzie. Co tu mówić: Niemcy w dużym stopniu osiągają jeden ze swoich celów, mianowicie upada autorytet urzędnika wśród naszego społeczeństwa i jeśli w samym gronie urzędniczym nie powstanie silna reakcja przeciwko pleniącym się chwastom, będziemy przeżywali po wojnie bardzo ciężkie perturbacje!

Również wysoce niepokojącym jest zjawisko naszego wojennego „handlowca". Nie chodzi nam tu o drobnych „szmuglerów", trudniących się przewozem produktów do wygładzanych miast, bo ci spełniają funkcje przeważnie pożyteczne, ani o drobnych przetwórców, którym trudno zarzucać, że wykorzystują w swoim zawodzie koniunkturę. Wiele setek tysięcy ludzi dorabia dziś drobnym handlem i to

jest dobrze, bo inaczej ludzie ci musieliby żebrać albo umrzeć z głodu, albo jechać na roboty do Rzeszy. Nie ma to wprawdzie nic wspólnego z normalnym pojęciem handlu i ci koniunkturalni handlowcy porządnego polskiego handlu po wojnie prawdopodobnie nie stworzą, ale to jest już inna kwestia. Nam chodzi o „grube ryby" spekulanckie i każdy wie, że mamy już sporo takich kombinatorów, którzy ładnego majątku dorobili się podczas tej wojny. Co to za handel, co za spekulacja, które pozwoliły tym ludziom dorobić się fortun w okresie, kiedy ogólny nasz dochód społeczny maleje w przerażającym tempie? Okazuje się przy bliższym przyjrzeniu się, że w każdym przypadku te kokosy powstały dzięki Niemcom wzgl. przy pomocy Niemców. Byłoby z tym jeszcze pół biedy, gdyby nie fakt, że w wielkiej ilości przypadków te ogromne zyski pochodzą poprostu z kradzieży dokonywanej na całym polskim społeczeństwie. Ostatecznie trudno dziwić się Niemcom, że nie wiele ich obchodzi, co się dzieje np. ze skórami, które łaskawie przeznaczyli na zaopatrzenie ludności polskiej w obuwie. Jeżeli te skóry sprzedawane są „na lewo" a ludność pracująca chodzi bez butów, to Niemcy mogą się tylko cieszyć, że jedni Polacy drugich okradają i rośnie nienawiść do wzbogaconych spekulantów. Z drugiej strony jest podziwu godne, z jakim spokojem dajemy się okradać sprzedawcom wyrobów tytoniowych, którzy większą część przydziałów puszczają na pasek. To samo mniej więcej dzieje się w każdej dziedzinie sprzedaży reglamentowanej. Zorganizowani spekulanci, bo — kartele spekulantów — w ohydny sposób okradają własne społeczeństwo, puszczając na pasek i tak znikome przydziały artykułów dla polskiej ludności.

Ale — jak wspomnieliśmy już — równie smutnym objawem jest brak należytej reakcji ze strony naszego społeczeństwa na te harce hijen wojennych. Jest to przerażający objaw przytępienia moralnego, spowodowanego infiltracją bakcyla hitlerowskiego. Wyzyskiwaczy w dalszym ciągu traktuje się w towarzystwie jako szanownych obywateli, a nawet podziwia się ich „przedsiębiorczość", nawet wtedy gdy ci spekulanci uprawiają swoje ciemne interesy do spółki z folksdojczami, czy jakimiś „ukraińcami" lub „persami". Bo wśród naszych przedsębiorców jest zbyt wielu takich, którzy uważają, że pieniądz nie śmierdzi i że interes nie ma nic wspólnego z patriotyzmem. W gronie uczciwych rodaków udają więc wielkich patriotów i strasznych niemcożerców, a salwując się na przyszłość dają nawet piękne sumki na cele organizacyjne, ale to nie przeszkadza im jakoś uprawiać ciemnych interesów ze szkodą własnego społeczeństwa.

Już raz zabraliśmy w tej sprawie głos i tym dobitniej powtarzamy: naród nasz walczy ciężko o swoje istnienie i znajduje się w stanie wojny, która wymaga od każdego najwyższych poświęceń dla dobra powszechnego! Nie ma dziś żadnego sensu podział na cywilnych i żołnierzy, na funkcjonariuszy publicznych i osoby prywatne; każdy jest dziś żołnierzem na swoim posterunku i każdy podlega tym samym obowiązkom oraz nakazom moralności. Każdy ma prawo do

minimum egzystencji, ale zbrodnią jest stwarzanie sobie oazy luksusowego życia kosztem nędzy szerokich warstw pracowniczych i robotniczych! Jeszcze raz przestrzegamy: beznadziejną będzie nasza walka z komunizmem, jeśli sami wprzód nie usuniemy pasorzytów, którzy toczą nasz w zasadzie zdrowy organizm narodowy!

SPRAWA KONFEDERACJI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ

Sprawa konfederacji jest zagadnieniem ustrojowym, politycznym i gospodarczym. Wszystkie te strony zagadnienia akt z dnia 19 stycznia 1942 r. porusza nader ostrożnie i rzecz prosta nie rozwiązuje ich całkowicie. Jest on bowiem aktem wstępnym, dopełnionym przez dwa rządy emigracyjne, które reprezentowanych przez siebie narodów nie chcą i nie mogą stawiać przed faktem dokonanym, któryby rozstrzygał o zakresie ich suwerenności. Akt styczniowy jest też tylko początkiem nie zaś zakończeniem pewnej akcji polityczno-organizacyjnej.

Opinia publiczna zainteresowanych krajów tego skrępowania nie ma, wręcz przeciwnie, ma ona nie tylko swobodę ale i obowiązek zająć wobec całości problemu jasne i sprecyzowane stanowisko, rozważyć konsekwencje takich czy innych rozwiązań, ku którym rozpoczęta ewolucja naszej państwowości zmierzać może, względnie powinna. Stąd i nasza myśl polityczna nie może uchylać się od tego zadania. Musimy przecież zdać sobie sprawę, czego chcemy i co jest w naszych warunkach możliwe do osiągnięcia.

Poglądy na istotę państwa i jego cele uległy w ostatnim ćwierćwieczu poważnej zmianie. Wojna obecna proces ten jeszcze przyśpieszyła poddając ogniowej próbie różne twory państwowe. W rezultacie jesteśmy dziś świadkami wyraźnej depopularyzacji koncepcji państwa narodowego, t. j. tej koncepcji, która w okresie konferencji pokojowej w Wersalu święciła triumf niepodzielnie, decydując o granicach i pełni suwerennych uprawnień poszczególnych organizmów państwowych. Dzisiaj zarówno świat demokratyczny, reprezentowany przede wszystkim przez potężne państwa anglosaskie, jak ustroje totalistyczne w swoim zachodnim czy wschodnim wydaniu, oddając każde na swój sposób narodowi mniej lub więcej poczesne miejsce w swych założeniach politycznych, skłonne są jednak formę państwa rozszerzyć znacznie poza zasięg jednonarodowych obszarów, względnie co najmniej pewne atrybucje państwowe przenieść na jednostki nadrzędne, któreby dotychczasową absolutną suwerenność narodów w mniejszym lub większym stopniu ograniczyły. Oczywiście zależnie od swego ideologicznego podłoża metody, jakimi demokracja, bolszewizm, czy narodowy socjalizm zmierzają do tego celu, są najzupełniej różne, faktem jednak jest, że w procesach państwowotwórczych tu i tam zarysowują się zręby dużych organizmów, które w przyszłej konstelacji zastąpić mają państwo narodowe. Niemiecki narodowy socjalizm, który wyrósł na ubóstwieniu idei narodowej, głosi

dziś hasło Paneuropy, oczywiście po swojemu pojętej i pozostającej pod hegemonią Niemiec, ale bądź co bądź całości niejednolitej etnicznie a natomiast spojonej jednolitymi węzłami organizacyjnymi. U źródła odczucia tej potrzeby, poza podłożem imperialnym, tkwią zbyt wyraźnie motywy gospodarcze i motyw bezpieczeństwa. Imperializm niemiecki wykruszy się w ogniu tej wojny, grzebiąc w swych gruzach opartą na nim koncepcję tak pojętego „bezpieczeństwa" paneuropejskiego. Jednak sam motyw zasadniczy nie straci na aktualności. On to już obecnie działa jak imperatyw kategoryczny przy powstawaniu innych koncepcyj ustrojowych, jakie zapewnićby miały pokój udręczonym wojnami narodom.

Najluźniejszą formą wzmocnienia bezpieczeństwa w stosunkach międzynarodowych są — jak wiadomo — sojusze czyli przymierza. Mają one wprawdzie tę dobrą stronę, że respektują w pełni suwerenność państwa narodowego, ale co o ich skuteczności w stosunkach sąsiedzkich sądzić, mogliśmy się sami dowodnie przekonać na przykładzie bodaj sojuszu polsko-rumuńskiego. Wyższy stopień zabezpieczenia od sojuszów stanowią konfederacje, t. j. związki państw, jeszcze wyższy federacje, czyli państwa związkowe. Proporcjonalnie do wzrostu spoistości objętych tymi formami członów narodowych, ich uprawnienia suwerenne ulegają ograniczeniu na rzecz całości, jaką tworzą, a więc owej związkowej państwowości.

Konfederacją w pewnym sensie była dawna Rzesza niemiecka, jest nią obecnie w wielkim stylu imperium brytyjskie. Federacją są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej oraz nominalnie przynajmniej także Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Już forma konfederacji wymaga trwałego powiązania poszczególnych części ze sobą oraz spólnoty pewnych władz naczelnych. W imperium brytyjskim tę spójnię stanowi dzisiaj tylko osoba panującego. Poza tym czynnikiem najwyższym zachowują dominia całkowitą niezależność swych urządzeń i suwerennych uprawnień aż do polityki zagranicznej włącznie. Imperium brytyjskie nie stanowi też jednolitego obszaru gospodarczego. Dopiero umowy ottawskie w r. 1932 wprowadziły na miejsce stosowanej dawniej zwykłej klauzuli największego uprzywilejowania zasadę preferencyj dominialnych, tj. pewnego uprzywilejowania celnego dominiów w obrotach wzajemnych. A jednak imperium zdało już wielokrotnie egzamin swojej spoistości wewnętrznej. Błędem byłoby atoli przypisywać to wyłącznie luźnej formie konstytucyjnego statutu. Jego skuteczność i wystarczalność możliwa jest tylko przy założeniu tej wielkiej spójni duchowej, jaka łączy dominia z macierzą. Imperium jest przecież Rzeczpospolitą Narodów Brytyjskich (**Commonwealth of British Nations**). Odrębność narodową równoważy tam przynależność do tego samego pnia kulturalnego, którego jednym ze współczynników jest wspólny język. Jednak to ogniwo nie jest dość ścisłe, harmonia imperialna wpada w dysonanse, jak tego dowodzi przykład Irlandii, manifestującej przy każdej okazji odrębne stanowisko, nieraz naprzekór swym żywotnym inte-

resom. Również Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, wyrosłe na bardzo różnorodnym podkładzie etnicznym, posiadają ten sam łącznik językowy, który kultywują pieczołowicie, doceniając jego rolę w życiu państwowym. Republikańskie Stany nie dysponując z natury rzeczy takim atutem, jaki stanowi dynastia, nie zaryzykowały rozluźnienia swej spoistości w tym stopniu, co Wielka Brytania i zatrzymały się na formie państwa federacyjnego, posiadającego przy całym poszanowaniu dla autonomii stanowej, szereg instytucyj centralnych wspólnych. A już jeżeli chodzi o zakres władzy prezydenta Stanów to jest on tak wielki, że nie może się z nim równać władza żadnego monarchy konstytucyjnego. Nie tu miejsce bawić się w dociekania, jakie złożyły się na to przyczyny. W każdym razie jedną z najważniejszych, jakkolwiek dyskretnie nie akcentowaną zbytnio, była potrzeba zapewnienia młodemu narodowi amerykańskiemu, który rodził się dopiero w ramach federalnej państwowości ze stopu różnych narodowości, silnego kośćca władzy, chroniącej ten naród przed niebezpieczeństwem chwiejnej i niezdecydowanej polityki. Dwa różne nawarstwienia kultury anglosaskiej demonstrują nam zatym na własnych przykładach współzależność form ustrojowych z działaniem innych czynników, które składają się na kształtowanie się wielkich zbiorowości, mających żyć życiem wspólnym i trzymać jednolity organizm polityczny. Owa więź kulturalno-językowa narodów anglosaskich nie pokrywa się bynajmniej z europejskim pojęciem przynależności narodowej, to jest raczej wspólny styl życia tych narodów, świadomość którego wytwarza w nich poczucie łączności interesów i celów, jakie chcą realizować. Na styl ten prócz pierwiastków materialnych składają się również immaterialne, duchowe, do których kluczem jest polityczna spójnia językowa. Określamy ją w ten sposób dlatego, bo dziś jeszcze jest ono czemś innym od tożsamości języka ojczystego. A jednak spójnia ta znaczy wiele, montuje federacje i konfederacje anglosaskie silniej od formuł konstytucyjnych.

Inny zupełnie styl, ale jednak styl samoistny i odrębny, przedstawia federacja sowiecka. Odziedziczyła ona po imperium carskim grunt dobrze przygotowany właśnie przez zakorzenioną spójnię języka państwowego. Spójni tej Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich mimo swej całej pozornej czy nawet faktycznej tolerancji dla języków narodowych — nie rozluźnił zupełnie, natomiast wprowadził obok niej nowy czynnik dodatkowy w postaci ideologii komunistycznej, przenikającej każdą komórkę życia społecznego w swym państwie. Cokolwiek o tej ideologii sądzimy, trudno odmówić jej dynamizmu i zdolności formowania psychiki ludzkiej według pewnego określonego wzoru. Zwłaszcza gdy w tej ideologii wyrosło już całe jedno pokolenie izolowane szczelnie od wpływów świata i pozbawione religijnej karmy duchowej, która swoją różnorodnością byłaby w stanie, być może, podsycić ten czy ów odruch separatyzmu. A jednak związek sowiecki rozparcelowawszy dawne imperium rosyjskie na republiki narodowe nie stał się związkiem państw, tylko uparcie

pozostaje państwem związkowym w jakżeż wielu dziedzinach rządzonym centralistycznie. Przede wszystkim dotyczy to polityki zagranicznej, obrony państwa i całej dziedziny polityki gospodarczej. Wprawdzie konstytucja sowiecka nominalnie jest tak liberalna, że przewiduje możność wystąpienia poszczególnych republik ze związku, jest to jednak tylko czcza teoria, albowiem autentyczna interpretacja tego postanowienia, ustalona oczywiście przez Moskwę, głosi, że jak długo republiki radzieckie dzieli od reszty świata dzisiejsza zasadnicza różnica ideologiczna, innymi słowy, dopóki świat pozostały nie przyjął ustroju radzieckiego, wystąpienie jakiejkolwiek republiki ze związku równałoby się zdradzie ideologii komunistycznej i przejściu do obozu wrogiego. Związek zatym miałby prawo wyciągnąć z tego faktu odpowiednie konsekwencje. Nie należy mieć tedy żadnych złudzeń: federacja sowiecka trzyma mocno w ryzach poszczególne człony swojej państwowości. Nie zapomina ona również o ważności bodźca ideologicznego. Gdy obecnie z różnych koniunkturalnych względów hasła międzynarodówki straciły na wewnątrz i zewnątrz wartość użytkową, a krwawiącym w śmiertelnych zmaganiach narodom Związku sowieckiego trzeba dać przecież jakąś duchową pożywkę, Kreml nie waha się wysunąć hasła panslawizmu, wziętego żywcem z repertuaru imperialistycznej carskiej Rosji. Mamy zatym znów przykład umiejętnego wzmacniania wiązadeł federacyjnej państwowości odpowiednią podmurówką ideologiczną, szczerą czy nieszczerą — to inna sprawa, ale doraźnie mogącą wcale skutecznie działać na moralny potencjał obronności państwa.

Tak w wielkim skrócie przedstawiają się sprawy związków konfederacyjnych i federacyjnych w skali mocarstwowej. A tylko ta skala może być dla nas interesująca z uwagi na ewentualne analogie praktyczne, jakie chcielibyśmy wyciągnąć dla własnej programowej roboty politycznej. Federacja szwajcarska, mimo szeregu podziwu i sympatii, jakie u nas budzi, przy istniejącej wyjątkowości geopolitycznej pozycji tego kraju nie jest dla nas objektem porównawczym, czerpanie zaś wzorów z jej konstytucji byłoby w naszych warunkach rzeczą ryzykowną i niebezpieczną.

Jak na tym tle wygląda program naszej reformy ustrojowej zapoczątkowanej układem z dnia 12 stycznia 1942 r.? Nominalnie akt ten nazywa się konfederacją, faktycznie treścią swą nie odpowiada ściśle temu pojęciu. Z jednej strony posiada on pewne braki, bez wypełnienia których żaden związek konfederacyjny nie mógłby powstać, z drugiej znów zawiera również postanowienia pozwalające wnosić, że intencje jego sięgają znacznie dalej w kierunku zacieśnienia węzłów między umawiającymi się partnerami aniżeli tego wymaga zwykła forma konfederacji, postanowienia zbliżające go raczej do pojęcia związku federacyjnego. Z braków zasadniczych wymienić należy przede wszystkim pozostawienie bez załatwienia sprawy władz naczelnych konfederacji. Sprawa ta ma znaczenie podstawowe i pominięcie jej milczeniem można wytłumaczyć tylko pewnym niezdecydowaniem

co do zasięgu, jaki ma objąć przyszły związek. Albowiem w pierwszym zaraz artykule układu rządy polski i czechosłowacki wyrażają gotowość przyjęcia do swego związku konfederacyjnego również innych państw „tej części Europy, z którą związane są życiowe interesy Czechosłowacji i Polski". Jest to oferta narazie anonimowa, bez wskazania konkretnego adresata. O właściwym sensie politycznym tej oferty wypadnie nam jeszcze boszerniej pomówić. Tym bardziej charakterystyczne jest, że pozostawiając otwartą sprawę ukonstytuowania się władzy naczelnej, układ przesądza w sposób stanowczy, że „konfederacja będzie posiadać wspólny sztab główny, którego zadaniem będzie przygotowywać obronę, a w czasie wojny konfederacja będzie miała jedno naczelne dowództwo". Motyw bezpieczeństwa i obronności Związku wybija się zatym na plan pierwszy z pośród pobudek inspirujących jego powstanie. Nie wolno będzie o tym zapomnieć przy dalszym rozbudowywaniu rozpoczętego dzieła. Bezpieczeństwa bowiem ani obronności nie stwarzają — jak się o tym przekonaliśmy — same tylko klauzule wojskowe. Decyduje o tym cały zespół czynników, które muszą współdziałać z sobą harmonijnie.

W pełnym zrozumieniu tej potrzeby rządy polski i czechosłowacki przewidziały w układzie styczniowym jako cel zawartego związku: „prowadzenie wspólnej polityki w zakresie: a) stosunków zagranicznych, b) spraw wojskowych, c) stosunków gospodarczych i finansowych, d) spraw społecznych, e) komunikacji, poczt i telegrafów". Poza tym obowiązywać ma koordynacja pracy również w innych dziedzinach życia państwowego. Dla realizowania tych wszystkich zamierzeń przewidziane jest powołanie do życia wspólnych organów konfederacji. Tylko, że w takim ujęciu owa konfederacja przestanie już być sobą a stanie się typową Unią federalną.

Co mamy zatym sądzić o pracach ustrojowych naszego Rządu na podstawie tak skonstruowanego układu „styczniowego"? Jaki podaje on kierunek i jaką właściwie formę zaleca?

Zaznaczyliśmy już na wstępie trudności, jakie wynikają dla rządu emigracyjnego z jego poczucia lojalności wobec własnego narodu, gdy wchodzą w grę decyzje dotyczące zakresu praw suwerennych tegoż. Stąd niechęć do stwarzania faktów dokonanych poza tymi, które podyktowane są wyższą koniecznością. Taka to właśnie konieczność wywołana względami bezpieczeństwa państwa już teraz usprawiedliwia najzupełniej ów pierwszy krok, jakim było podjęcie inicjatywy konfederacyjnej. Nominalnie zatrzymuje się ona na tym etapie, który wymaga najmniejszych uszczupleń suwerenności. I tu nawet przez brak precyzji bardzo istotnych postanowień zostawia jeszcze narodowi swobodę bezpośredniego wypowiedzenia się w ich przedmiocie w odpowiednim momencie. Bez tych precyzji wszystkie inne postanowienia układu nabierają charakteru sugestyj. Sugestie zaś mogą być śmiałe i są istotnie śmiałe. Torują one drogę ku dalszym etapom ustrojowym, ku którym zdaniem rządu zmierzać winna re-

forma państwowości. Ale na drodze realizacji tych sugestyj leżą jeszcze całe kompleksy zagadnień nie nazwanych w samym akcie styczniowym nawet z imienia, które naród winien sobie sam uświadomić i przez zajęcie wobec nich stanowiska ułatwić Rządowi trudną rolę w jego dalszych pracach przygotowawczych.

Postaramy się w następnych numerach sprecyzować nasz punkt widzenia na te ważne sprawy.

POETA I WIEŚNIAK

Przypomniał nam się ten tytuł popularnej uwertury muzycznej przy czytaniu bardzo ładnego zbioru artykułów na temat aktywizacji wsi polskiej w styczniowym numerze zasłużonego już bardzo w publicystyce podziemnej miesięcznika „Pobudka". Bardzo dalecy jesteśmy w tej chwili od złośliwości i nie chcemy bynajmniej snuć jakichś analogij między owym „wsiowym" numerem „Pobudki" a operetką. Wręcz przeciwnie, uważamy, że numer ten powinien znaleźć się w ręku przede wszystkim każdego **działacza nieludowego**, bo znajdzie w nim wiele podniety do dalszej pracy nad zbliżeniem miasta do wsi. Jeżeli znajdujemy tam niektóre błędne poglądy lub fałszywe wnioski — to nie mniej uznać musimy wysiłek redakcji, szczerość jej intencji i dążność do obiektywizmu, tak rzadką u ludzi nie związanych z życiem wsi i ruchem ludowym. Zalecając wszystkim pilne przeczytanie tego zeszytu, uważamy równocześnie za swój obowiązek nakreślić kilka uwag nie tyle na temat owego zbioru, ile na jego marginesie, by dać wyraz poglądom ludzi pochodzących bezpośrednio ze wsi na te same zagadnienia. My lubimy mówić twardym językiem.

Ilekroć Polsce zagrażało niebezpieczeństwo przypominał sobie „naród" (tzn. warstwa rządząca) wieś i chłopa. Tak było we wszystkich okresach dziejów Polski od czasu odebrania chłopom swobód gospodarczych i społecznych aż do insurekcyj i będzie to trwało tak długo, dopóki nie nastąpi całkowite wyrównanie szans życiowych chłopów z innymi warstwami ludności. W takich chwilach „naród" chce nagle wchłonąć w siebie chłopów, chce ich podnieść do swojego poziomu, „unarodowić" i co kto chce. Tylko że to wszystko niestety wypływa nie tyle ze **współczucia** doli chłopskiej, z odczucia niesprawiedliwości i krzywdy społecznej, ale raczej z **racjonalistycznego przeświadczenia**, że w chłopie ratunek dla narodu i państwa. Gdy natomiast niebezpieczeństwo mija, warstwa kierownicza przestaje się interesować położeniem chłopów. Tak się dzieje do ostatnich czasów i na naszych oczach, bo oto, co widzimy: gdy ciemny ludek miejski wyśpiewuje głupawe piosenki na chłopów z powodu ich rzekomego bogacenia się na „szmuglu", to równocześnie sfery oświecone różnych obozów uprawiają niezwykłe wprost **kadzichłopstwo** przeważnie nie z innego powodu, jak z tego, że znowuż w chłopie chciałyby widzieć siłę, która zdolna byłaby uratować naród (ten termin jest pojmowany tym razem w szerokim znaczeniu — wraz z chłopami) od groża-

cego zalewu bolszewizmu, czy anarchii. Niezdrowe to zainteresowanie chłopem i kapryśne intencje! Przed stu przeszło laty na idealizowaniu natury, pasterek i pasterzy — a prozaicznie mówiąc — pastuchów — oparł się romantyzm w literaturze. Nie chciano widzieć rzeczywistości i nędzy życiowej chłopów i Kordian nie rozumiał Chama. Dzisiaj idealizowanie chłopów przybiera bardziej niebezpieczne formy, ponieważ wkracza w dziedzinę rozwiązywania najistotniejszych problemów w życiu Narodu. Stąd koniunkturalne kadzichłopstwo i chłopomania

Ludowcy nie są i nie mogą być chłopomanami. Ruch ludowy zmierza bowiem do głębokiej przebudowy społecznej całego życia Polski, podczas gdy chłopomaństwo jest pewną romantyczną, czy sentymentalną postawą konserwatywną, zmierzającą do utrwalania tego, czego niejednokrotnie i sam chłop bynajmniej sobie nie życzy. Posiadając dokładną znajomość rzeczy i zmysł rzeczywistości musimy się przeciwstawić zarówno idealizowaniu stosunków i właściwości chłopskich, jako też ich oczernianiu. Narodu nie wychowa się ani na idyllicznych powiastkach o czułych pasterkach i pasterzach, ani na nihilistycznych opisach grypy szalejącej w Naprawie, a nade wszystko wzorem dla „aktywizacji" wsi nie może być taki Lisków księdza Blizińskiego. A w ogóle należy się pilnie wystrzegać zbyt pochopnych uogólnień w charakterystyce wsi. Tego niestety autorzy artykułów w „Pobudce" nie uniknęli i to jest zresztą błąd nie tylko ich, lecz wielu artykułów poświęconych sprawie ludowej w pismach nieludowych.

Niestety w enuncjacjach mieszczuchów nurtuje mniej lub więcej starannie ukryte, ale zawsze wyczuwalne traktowanie chłopa jako materiału surowego pod każdym względem. Tu nie ma różnicy między pismami socjalistycznymi a t. zw. narodowymi. Każde takie rozumowanie wychodzi dziś z dorozumianego założenia, że ludność miejska stoi mniej więcej na odpowiednim poziomie wyrobienia kulturalnego i politycznego, a całe nieszczęście Polski w tym, że ludność wiejska, te 70% naszego Narodu stoi znacznie poniżej tego poziomu. Cały problemat Polski sprowadza się więc do aktywizacji politycznej, gospodarczej i kulturalnej wsi, przy czym spór między boginiami sprowadza się do tego, czy wieś ma pójść w ogonie tej socjalistycznej, czy tej narodowej, czy może jeszcze ozonowej. Fałszywe uogólnienia! Facet z emfazą podkreśla, że żył na wsi rok między chłopami, a więc poznał dobrze życie wsi naszej i może spokojnie oświadczyć, że polska wieś śpi, rozwalona do góry brzuchem, a więc niczego nie rozumie i niczego nie odczuwa. Panu temu nie przyszło na myśl podać do wiadomości, w jakiej okolicy taką śpiącą wieś znalazł, ani też nie poinformował nas, czy próbował zabawić się w rycerza, budzącego śpiącą królewnę. Niewątpliwie istnieje wiele jeszcze śpiących wsi, ale uogólnianie takich zjawisk zawiera taką samą prawdę, jak twierdzenie, że miasto oddaje się dziś rozpuście i pijaństwu. Wprost przeciwnie: wieś polska na ogół przechodzi potężną i wartką ewolucję wzwyż, jakiej przykładu nie mamy w żadnej innej warstwie i to nas napawa

nie wiarą, ale pewnością, że Naród nasz jest na drodze do wielkiej przyszłości! To nie wystarczy obejrzeć pierwszą lepszą wieś, aby poznać polski lud: trzeba pofatygować się do całego szeregu różnych wsi i to zarówno w województwach zachodnich, jak środkowych i wschodnich i umiejętnie odważyć rolę tych poszczególnych wielkich kompleksów w całym życiu Narodu, aby się móc pokusić na ogólne wnioski. Przez całe dwadzieścia lat życie nasze cierpiało z tego powodu, że koncepcje w skali ogólno-polskiej realizowali ludzie, nie umiejący wyjść poza kategorie myślenia jednodzielnicowego. Czas by z tym skończyć, gdy dziś do głosu dochodzi młodsze pokolenie, dojrzałe w wolnej Polsce.

NASI W KRAJU I ZAGRANICĄ

Cały kraj nasz śledzi z naprężoną uwagą dalszy przebieg sporu polsko-sowieckiego o wschodnie granice Rzplitej. Wysiłki prasy gadzinowej, mające na celu ukucie z tego sporu broni dla Niemiec przez wywołanie w naszym społeczeństwie nieufności do Anglii i Stanów Zj. nie dają żadnego wyniku, gdyż dzięki obiektywnym informacjom naszej prasy podziemnej wszystkie kłamstwa niemieckie są z miejsca przygważdżane.

Rząd angielski przez usta premiera **Churchilla** oświadczył, że nie czas jest jeszcze na omawianie kwestyj granicznych: znaczy to bardzo wiele, gdyż zadaje kłam propagandzie niemieckiej, jakoby rząd angielski popierał żądania rosyjskie. Jednak rząd angielski dał jeszcze wyraźniejszą odpowiedź w zainscenizowanej bardzo dowcipnie scenie na terenie parlamentu angielskiego. Mianowicie **min. Eden** jeszcze przed swoim wyjazdem do Stanów Zj. został zainterpelowany, czy rząd Jego Królewskiej Mości uzna ustalone arbitrażem wiedeńskim państw „osi" granice węgiersko-rumuńskie i rumuńsko-bułgarskie? Na to Eden odpowiedział, że rząd brytyjski nadal stoi na stanowisku, że **żadne zmiany granic dokonane w ciągu tej wojny nie mogą być uznane bez zgody zainteresowanych narodów.** Każdy zrozumie, że ani ta interpelacja, ani odpowiedź na nią nie tyle dotyczyły granic rumuńskich ,ile właśnie tych innych granic, które są obecnie przedmiotem dyskusji na całym świecie. W obecnej delikatnej sytuacji rząd angielski widocznie nie chciał nazwać rzeczy całkiem po imieniu, ale dla uspokojenia nas wystarcza i to. W samej Anglii dość dziwnie ułożyły się stosunki, gdyż konserwatyści stali się wielkimi sympatykami Rosji i lansują poglądy, które w Rosji muszą robić jak najlepsze wrażenie (czytaj nasz przegląd wojenno-polityczny), natomiast Partia Pracy zajmuje zdecydowanie stanowisko antybolszewickie i popiera nasze stanowisko. Powodem tego jest m. in. to, że Rosja za pośrednictwem Kominternu rzuciła na teren angielski ogromne pieniądze na prowadzenie propagandy wśród robotników angielskich. Wrażenie tego rodzaju nachalnych poczynań musiało być oczywiście w Anglii jak najgorsze. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, by

prosowieckie poglądy kół konserwatywnych mogły wynikać ze szczerego przekonania.

Co do Stanów Zj. to sami Niemcy przyznają, że prez. Roosevelt stoi uparcie przy zasadach Karty Atlantyckiej, a ma przy tym z wielu powodów Rosję „na wątrobie". Tylko nieliczne dzienniki i nieliczni publicyści lansują sympatie prosowieckie. Nie ulega wątpliwości, że o ile Anglia czuje się zobowiązana przynajmniej do pewnych gestów sympatii w stosunku do swej sojuszniczki — Rosji, o tyle Stany Zj., nie związane sojuszem z Rosją stawiają wobec niej wszystkie sprawy ostro i jasno. Dziś jest pewne, że amerykańscy mężowie stanu nie pojadą konferować do Moskwy, tylko sowieckie szyszki będą musiały się pofatygować grzecznie do Waszyngtonu.

Po przemówieniu Wiceprezydenta Stanów Zj. Wallacea (por. nasz przegląd wojenno-polityczny) mógł nasz premier śmiało uderzyć w tę samą nutę i uczynił to w przemówieniu londyńskim, wygłoszonym w jednym z klubów. Gen. Sikorski stwierdził, że jeśli ktokolwiek wyciągnie rękę po nasze ziemie — cały nasz naród zjednoczy się jak jeden mąż i walczyć będzie do ostatka w obronie swoich granic, bez względu na to, z jakim napastnikiem będzie miał do czynienia. To stanowisko szefa naszego Rządu zostało poparte deklaracją Krajowej Reprezentacji Politycznej, przesłaną do Londynu. Stanowisko całego naszego narodu w kwestii granic wschodnich jest zupełnie jednolite i nieugięte. Nie zaszkodzi jednak, jeżeli propaganda nasza włoży cały wysiłek w uświadomienie świata, że my będziemy konsekwentni i że nie po to zdecydowaliśmy się na wojnę w obronie granic zachodnich, by utracić ziemie wschodnie na rzecz sąsiada, który niczym nie dowiódł, że jest lepszym od hitlerowskich Niemiec. Nadal niewyjaśnionym pozostaje stanowisko Ukraińców, których — zdawałoby się — sprawa ta powinna również bezpośrednio dotyczyć. O ile trudno wymagać jakiejś akcji ze strony Ukraińców krajowych, których część bardziej ideowa jest rozbita i zdezorganizowana, a druga część poszła na służbę niemiecką, o tyle dziwić musi milczenie bardzo silnej w Stanach Zj. i w Kanadzie emigracji ukraińskiej. Stanowisko Ukraińców w tej doniosłej dla obu naszych narodów fazie dziejowej może być sprawdzianem dojrzałości politycznej ich warstwy kierowniczej.

Oto np. w „Prawdzie" ukazał się artykuł niejakiego Kornijczuka, „przedstawiciela" „Zachodniej Ukrainy", który stwierdził, że ludność wschodniej Polski jednomyślnie uchwaliła w 1939 r. połączenie tych ziem ze Związkiem Sowieckim i że jest szczytem głupoty myśleć, że ludność Lwowa etc. marzy o powrocie polskiej nacjonalistycznej władzy, która Ukraińców wyzuwała z majątku i utrzymywała ich w stanie bezrobocia i analfabetyzmu. Artykuł ten obudził sensację z tego względu, że niebawem po jego ukazaniu się ów Kornijczuk został mianowany zastępcą Komisarza Spraw Zagranicznych. Lwowianie pamiętają osobę towarzysza Kornijczuka: był to importowany z Moskwy NKWDysta niby Ukrainiec, którego kazano „wybrać jednomyślnie" na delegata lwowskiego do Sowietu Republiki Ukraińskiej i Najwyż-

szej Rady Związku. Z delegatów miejscowych w Rosji znalazł się, o ile wiemy, tylko prof. Studyńskij, ale i ten, jak wieść niesie został w międzyczasie rozstrzelany: reszta wolała pozostać pod okupacją niemiecką, wobec czego zaszczyt reprezentowania ludności „Zachodniej Ukrainy" przypaść musiał bardzo niefortunnie owemu Kornijczukowi. Prócz tego zaczęto wydawać w Moskwie pismo „Wolna Polska", otwarcie wojujące z rządem naszym. We Lwowie organem bolszewickim była gazeta „Wilna Ukraina" — skojarzenie więc tych dwóch nazw daje wyobrażenie o tym, jak sobie bolszewicy wyobrażają jeszcze istnienie Polski.

Jednak bez względu na to, że nasze sprawy na forum międzynarodowym stoją dobrze, powinniśmy trzymać mocno w garści nasze ziemie wschodnie, o ile tylko warunki obecne na to pozwalają i nie pozwolić na działanie tam dywersji bolszewickiej. Posługuje się ona tam bandami, szumnie zwanymi „partyzantami", których specjalnością jest unikanie Niemców, a grabienie miejscowej ludności. Bolszewicy wielką wagę w swej strategii przykładali do walk partyzanckich (pomysł zresztą nie ich, lecz polski), ale trzeba przyznać, że ten eksperyment zupełnie zawiódł ich oczekiwania, gdyż ich materiał ludzki okazał się zupełnie nieodpowiedni do działań, które wymagają od każdej jednostki inteligencji i samodzielności. Głupota niemieckich czynników jest jednak jeszcze większa i ona przysparza bandom wiele miejscowego elementu. Radio moskiewskie cuda opowiada o wspaniałych wyczynach „Gwardii Ludowej", czyli bojówek komunistycznej PPR na terenie rdzennej Polski, z czego nasi ludzie mają okazję uśmiać się zdrowo.

W kraju nastroje są coraz lepsze, postawa moralna społeczeństwa poprawia się z dnia na dzień, do czego w dużej mierze przyczyniają się ogłaszane wyniki akcji samoobrony, zmierzającej do likwidacji zdrajców i niemieckich konfidentów, a ostatnio nawet — do odbijania więźniów. Kraj nie czuje się już tak beznadziejnie bezbronnym i wydanym na łup sadystów hitlerowskich.

W akcji konsolidacyjnej naszych sił zbrojnych niemiłe echo budzi jednak dywersancka robota pewnego ugrupowania politycznego, którego pisma ogłosiły powstanie jakowejś „Komendy Narodowych Sił Zbrojnych", co w szeregach może wywołać pewną dezorientację. Wolno organizacjom tworzyć własne oddziały paramilitarne w rodzaju straży czy milicji, ale „siła zbrojna" kraju może być tylko jedna i to apolityczna. Kto własne bojówki chrzci nazwą, jakże pretensjonalną, „narodowych sił zbrojnych" ten nie tylko naraża się na śmieszność, ale ponadto zasługuje na miano warchoła, gdyż tym samym przeciwstawia się zasadzie jedności i wyłączności władzy wojskowej. Nasz obóz był pierwszym, który z systemem rządzenia panującym w Polsce przedwojennej walczył bezwzględnie, a szczególnie nas bolał niezdrowy duch panujący w kołach wyższych wojskowych: o tym jest wiadomo wszystkim. Mimo jednak wszelkich zastrzeżeń, jakie mamy, uważamy że jedność dowództwa stoi poza dy-

skusją i że siła zbrojna kraju nie może być obecnie przedmiotem rozgrywek politycznych, lecz najwyżej dyskusji rzeczowej.

Niemiecka akcja branek na roboty i zamykania przedsiębiorstw idzie jak dotąd dość kulawo. Z jednej strony młodzież nasza — zgodnie z poleceniem KWC — nie stawia się do poboru, z drugiej zaś sami Niemcy działają ospale. Trudno odgadnąć, czy dlatego, że mają polecenie nie drażnienia nas zbytnio, czy też może zdołali już uświadomić sobie, że Hitlera nikt i nic nie uratuje, więc wszelki trud i narażanie się są zbyteczne.

W chwili gdy oddajemy niniejszy numer do druku, światem całym wstrząsnęła wiadomość o odkryciu przez Niemców w pobliżu Smoleńska masowych grobów polskich oficerów, którzy według poszlak zostali wymordowani na wiosnę r. 1940 przez bolszewików. Chodzi tu niewątpliwie o tych naszych oficerów, którzy przebywali w obozie jeńców w Kozielsku, a którzy przestali dawać wiadomości o sobie właśnie od marca 1940 r. Nie jest jeszcze w tej chwili wiadomem jaka ilość naszych ludzi została w ten sposób — wbrew wszelkim prawom boskim i ludzkim — wymordowana, sam jednak fakt nie budzi niestety wątpliwości. Niemcy ukuli z tego wielki oręż propagandowy, a chcą przy tym upiec kilka pieczeni: z jednej strony chodzi im o wywołanie zamieszania w obozie aliantów a w szczególności o dalsze poróżnienie aliantów z Rosją, z drugiej zaś spekulują na pozyskanie sobie choćby części społeczeństwa polskiego, a ponad to chcą ex post usprawiedliwić swoje własne postępowanie wobec żydów, gdyż propadanda ich twierdzi, że bezpośrednimi sprawcami tej zbrodni byli bolszewiccy żydzi. Naród nasz z wielkim przygnębieniem śledzi akcję odkopywania masowych grobów i identyfikowania zwłok, z drugiej zaś strony zdaje sobie sprawę, że nie należy przedwcześnie wyciągać wniosków, tak jakby tego chcieli Niemcy. Nie ulega wątpliwości, że zbrodnia pod Smoleńskiem pociągnie za sobą ogromne konsekwencje na terenie międzynarodowym, które będą korzystne nie dla Niemców, których już nic nie uratuje od klęski, lecz dla naszej sprawy. W tym sensie można powiedzieć, że śmierć męczeńska naszych ludzi — bezbronnych jeńców — nie była daremną.

PRZEGLĄD WOJENNO-POLITYCZNY
(15 marzec — 15 kwiecień)

Prezydium Najwyższej Rady ZSRR nie odczekało zakończenia ofensywy zimowej, lecz zaraz po wzięciu przez armię czerwoną Charkowa zamianowało Stalina marszałkiem. Jednak Niemcy przygotowali w Zagłębiu Donieckim potężne przeciwuderzenie, sprowadzając w tym celu wyborowe dywizje SS z nad kanału La Manche: Charków został odebrany a sowiecka armia z trudem zdołała się skonsolidować na linii Dońca, czyli mniej więcej na linii z ubiegłego roku. Również nie udało się armii czerwonej zlikwidować groźnego niemieckiego przyczółka mostowego przy Noworosyjsku i półwyspie Tamań. W re-

zultacie obie strony są z wyniku walk zimowych zadowolone: bolszewicy dlatego, że unicestwili wszystkie zdobycze ofensywy niemieckiej z lata 1942, a Niemcy dlatego, że zdołali utrzymać front, czyli przedłużyć na jakiś czas swoją wegetację. Oczywiście my również możemy być zadowoleni z tego przebiegu wydarzeń, zwłaszcza, że początkowe sukcesy przyprawiły władców Kremla o taki zawrót głowy, iż przedwcześnie ujawnili przed światem swoje zaborcze zamiary.

Tymczasem na zachodzie panowała w marcu ożywiona działalność polityczna. Obraz zarysował się mniej więcej taki: podczas gdy półoficjalne sfery angielskie zaczęły w swoich enuncjacjach popierać z podejrzaną gorliwością sowiecki punkt widzenia na zagadnienie ustroju Europy powojennej, to Waszyngton zaczął dawać całkiem zdecydowaną kontrę. Wykładnikiem pierwszego nastawienia były dwa artykuły „Timesa" z 10 i 23 marca. Zawierają one bardzo wyraźne odchylenie od zasad Karty Atlantyckiej: mówi się tam, że pojęcia samostanowienia i suwerenności małych narodów muszą ulec rewizji i że prawem, wzgl. obowiązkiem trzech mocarstw t. j. Anglii, Stanów Zj. i Rosji jest stworzyć system trwałego bezpieczeństwa, do którego muszą się dostosować małe narody. Artykuły te wywołały bardzo nieprzyjemne echa w samej Anglii, tak iż czynniki rządowe czuły się zmuszone do oświadczenia, że artykuły te nie odzwierciadlają poglądów rządu. Nasz minister spraw zagranicznych Raczyński w przemówieniu z 16 marca wypowiedział się przeciwko nawracaniu do koncepcji „paktu czterech" i podkreślił, że mniejsze państwa przez połączenie się w bloki czy federacje powinny mieć równe z wielkimi mocarstwami prawo współdecydowania o przyszłym obliczu Europy. Jeszcze ostrzejszy protest ogłosił holenderski minister spraw zagranicznych, dowodząc, że supremacja wielkich mocarstw jest sprzeczna z ideą demokracji i nie ma żadnego logicznego ani moralnego uzasadnienia.

Punktem kulminacyjnym tych debat nad przyszłością było przemówienie radiowe prem. Churchilla w dniu 21 marca. Było ono głównie poświęcone wewnętrznym sprawom angielskim, ale zawierało też pewne tezy zewnętrzno-polityczne. Uderzało, że również premier nie wspomniał o Karcie Atlantyckiej, aczkolwiek starał się złagodzić wrażenie artykułu „Timesów" przez stwierdzenie, że obok trzech wielkich mocarstw do współdecyzji mogą być dopuszczone bloki czy też federacje mniejszych państw z tem jednak, że każdy naród musi coś poświęcić ze swoich aspiracyj na rzecz pokoju i bezpieczeństwa. Nasz nowy minister informacyj prof. Kot w komentarzu do tej mowy oświadczył, że tezy Churchilla są zgodne z polskim punktem widzenia na zagadnienia przyszłego porządku w Europie. Ale mowa ta nie zadowoliła wszystkich i nie rozwiała wielu wątpliwości. W Ameryce zwrócono uwagę, że Churchill nie wspomniał zupełnie o czwartym wielkim partnerze — Chinach, natomiast koła emigracyjne francuskie z żalem mogły stwierdzić, że

również Francja została wykreślona z rzędu mocarstw, które będą decydowały o losach Europy.

Tymczasem w Ameryce zaognienie stosunków z Sowietami doszło do punktu kulminacyjnego w momencie, gdy Sowiety ujawniły swoje plany zaborcze. Zaczęło się od słynnego już dziś wywiadu prasowego ambasadora Stanów Zj. w Moskwie Standleya, który dał wyraz swemu niemiłemu zdziwieniu, że rząd sowiecki zupełnie przemilcza przed swoim społeczeństwem pomoc materiałową, jaką Sowiety otrzymują ze Stanów: stary admirał zupełnie niedyplomatycznie zagroził, że przy tego rodzaju stosunkach ta pomoc może się bardzo szybko urwać. Wprawdzie rząd sowiecki z niezwykłą skwapliwością postarał się naprawić to „przeoczenie" i dał odpowiednie komunikaty do prasy, wprawdzie rząd w Waszyngtonie oświadczył, że Standley wypowiedział tylko swoje „prywatne" zdanie, nie mniej jednak zaognienie stosunków amerykańsko-sowieckich zostało zademonstrowane dość drastycznie. Drugim wydarzeniem była mowa **Wiceprezydenta Stanów Wallacea**, który wyraźnie zarysował widmo trzeciej wojny światowej na wypadek, gdyby nie doszło do porozumienia i szczerej współpracy między Sowietami a demokracjami Zachodu. Wallace wyraźnie sformułował warunki, jakich wymaga ta współpraca, a podstawowym z nich jest z jednej strony ewolucja ustroju kapitalistycznego w kierunku zaprowadzenia większej sprawiedliwości społecznej, a z drugiej ewolucja ustroju sowieckiego w kierunku poszanowania wolności człowieka i swobody wyrażania przez niego poglądów.

W tym okresie nastąpił **wyjazd min. Edena do Stanów Zj.** na dłuższy pobyt celem przygotowania gruntu pod projektowane konferencje państw sprzymierzonych. Roosevelt zaproponował odbycie pierwszej takiej narady w kwietniu (rozpocząć się ma 27). Ustalono, że ma ona dotyczyć sprawy wyżywienia Europy bezpośrednio po zakończeniu wojny. Zaproszono na nią 34 państwa, a jedną z pierwszych, która zaproszenie przyjęła, była Rosja. Wszystko inne wskazuje na to jednak, że celem podróży Edena było pośredniczenie w sprawie wyrównania różnic między Stanami a Rosją, przyczem krążą pogłoski, że miał Eden przedstawić prez. Rooseveltowi jakieś kompromisowe projekty co do zaspokojenia żądań Rosji. Mówią, że pod tym względem misja Edena się nie udała. Charakterystycznym jest, że artykuły „Timesa" wywołały w Ameryce takie oburzenie, iż Eden musiał w Waszyngtonie kategorycznie zaprzeczyć przed przedstawicielami prasy, jakoby były one wyrazem poglądów rządu angielskiego. Jeszcze bardziej znamienne jest to, że po wyjeździe ze Stanów Eden wygłosił w Kanadzie przemówienie, w którym wyraźnie zaznaczyło się wycofanie się ze stanowiska poprzednio przez niego zajmowanego w kwestii, kto ma decydować o przyszłym porządku europejskim. Istota sprawy polega na tym, że prez. Roosevelt uważa się za właściwego autora Karty Atlantyckiej i z całą konsekwencją broni jej zasad, zupełnie zresztą zgodnych ze światopoglądem narodu amerykańskiego.